

MARCEL PROUST

W CIENIU
ZAKWITAJĄCYCH
DZIEWCZĄT, TOM DRUGI

Marcel Proust
W cieniu zakwitających
dziewcząt, tom drugi

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23548514

W cieniu zakwitających dziewcząt, tom drugi:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom drugi	4
Конец ознакомительного фрагмента.	60

Marcel Proust

W cieniu zakwitających dziewcząt, tom drugi

Tom drugi

Tymczasem pani Bontemps, która mówiła sto razy, że nie chciałaby być u państwa Verdurin, uszczęśliwiona, że ją zaproszono na środy, obliczała właśnie w duchu, w jaki sposób mogłaby tam być możliwie najczęściej. Nie wiedziała, że pani Verdurin wymaga, aby nie opuścić żadnej środy; z drugiej strony, należała do tych mało poszukiwanych osób, które, kiedy są zaproszone na serię przyjęć do jakiegoś domu, nie idą po prostu wówczas, gdy mają wolną chwilę i ochotę jak ci, co wiedzą, że zawsze zrobią przyjemność. Przeciwnie, takie osoby wyrzekają się na przykład pierwszego i trzeciego wieczoru, wyobrażając sobie, że ich nieobecność zwróci uwagę i zachowując się na drugi i czwarty; chyba że, mając jakieś informacje, iż trzeci „żurek” będzie osobliwie świetny, obiorą odwrotny porządek, utrzymując, że „niestety poprzednim razem nie były wolne”. Tak pani Bontemps obliczała, ile może być jeszcze środ przed Wielkanocą i w jaki sposób mogłaby zyskać jedną więcej, nie robiąc wrażeń, że się narzuca. Liczyła na panią Cottard, że jej

w drodze da jakieś wskazówki.

– Och, pani Bontemps, widzę, że pani wstaje, to bardzo nieładnie dawać w ten sposób hasło do ucieczki. Winna mi pani kompensatę za to, że pani nie była w ostatni czwartek... No, niechże pani siada jeszcze na chwilę. Nie odrobi już pani przecie żadnej wizyty przed obiadem. Doprawdy, nie da się pani skusić? – mówiła pani Swann, podsuwając talerz z ciasteczkami. – Wie pani, że to wcale niezłe te świństewka. Niepokażne to, ale niech pani tylko skosztuje!...

– Przeciwnie, to wygląda bardzo kusząco – odpowiadała pani Cottard. – U pani, pani Odeto, nigdy nie grozi śmierć głodowa. Nie potrzebuję pytać o markę fabryczną, wiem, że pani wszystko bierze od Rebatteta. Muszę wyznać, że jestem bardziej eklektyczna. W kwestii ptifurów i w ogóle wszelkich łakoci często zwracam się do Bourbonneux. Ale uznaję, że oni tam nie mają pojęcia, co to są dobre lody. We wszystkim, co tyczy lodów, kremów czy sorbetu, Rebattet to Sztuka przez wielkie „S”. To, jakby powiedział mój mąż, *nec plus ultra*.

– Ale to jest po prostu robione tutaj, w domu. Doprawdy nie?

– Nie mogłabym jeść obiadu – odpowiadała pani Bontemps – ale siadam jeszcze na chwilę, wie pani, ja uwielbiam rozmawiać z osobą inteligentną jak pani.

– Wydam się pani niedyskretna, pani Odeto, ale rada bym wiedzieć, co pani sądzi o kapeluszu pani Trombert. Wiem, że modne są wielkie kapelusze, ale ona już trochę przesadziła. A w porównaniu z kapeluszem, w jakim przyszła kiedyś do mnie, ten

dzisiejszy był raczej mikroskopijny.

– Ale nie, ja nie jestem inteligentna – mówiła kokieteryjnie Odeta. – Ja jestem w gruncie naiwne stworzenie, które wierzy we wszystko, co mu ktoś mówi, które bierze sobie do serca wszystko.

I dawała do zrozumienia, że w początkach bardzo cierpiała, wyszedłszy za człowieka takiego jak Swann, który „chodził na boki” i zdradzał ją.

Tymczasem księżę d'Agrigente, usłyszawszy owo: „nie jestem inteligentna”, czuł się w obowiązku protestować, ale nie miał daru znalezienia się w kropce.

– Tararara! – wykrzyknęła pani Bontemps – pani nieinteligentna!

– W istocie, powiadałem sobie: „Co ja słyszę?” – rzekł księżę, chwytając tę deskę ratunku. – Musiały mnie uszy mylić.

– Ależ nie, upewniam was – mówiła Odeta – ja jestem w gruncie mała mieszcza, bardzo płochliwa, pełna przesądów, żyjąca w swojej norce, a zwłaszcza bardzo ciemna.

– Czy księżę widział naszego kochanego baroneta? – dodała, aby zasięgnąć nowin o baronie de Charlus.

– Pani ciemna! – wykrzykiwała pani Bontemps. – W takim razie, co by pani powiedziała o świecie oficjalnym, o wszystkich ekscelencjach, które umieją mówić tylko o szmatkach!... Ot, moja pani, nie dalej niż przed tygodniem ściągam ministrową oświaty na temat **Lohengrina**. Odpowiada: „**Lohengrin**? A tak, to ostatnia rewia w Folies-Bergères, zdaje się, że to szalenie zabawne”. No i co, moja pani, cóż pani chce, kiedy się

słyszysz takie rzeczy, to się w człowieku gotuje. Miałam ochotę spoliczkować ją. Bo ja, wie pani, ja mam swój charakterek. No, niech pan powie – rzekła, zwracając się do mnie – czy nie mam racji?

– Wie pani – rzekła pani Cottard – można wybaczyć, że ktoś odpowie niezupełnie trafnie, kiedy go zapytają tak nagle, niespodzianie. Wiem coś o tym, bo pani Verdurin ma zwyczaj przykładać nam tak nóż do gardła.

– *À propos* pani Verdurin – zagadnęła pani Bontemps panią Cottard – czy pani wie, kto tam będzie u niej we środę... A, przypominam sobie teraz, żeśmy przyjęli jakieś zaproszenie na najbliższą środę. Czy nie zechciałaby pani przyjść do nas na obiad od środy za tydzień? Poszłybyśmy razem do pani Verdurin. To mnie onieśmiela tak wchodzić samej; nie wiem czemu, ale ta wielka kobieta zawsze mnie przejmowała strachem.

– Powiem pani – odparła pani Cottard – co panią tak przestrasza u pani Verdurin: to jej organ. Cóż pani chce, nie każdy ma taki piękny organ jak pani Swann. Ale wystarczy zagrzać miejsce, jak mówi „pryncypałka”, a lody niebawem pękną. Bo w gruncie ona jest bardzo ujmująca. Ale rozumiem bardzo dobrze pani sensacje, to nigdy nie jest miło znaleźć się pierwszy raz w nieznannej krainie.

– Mogłaby i pani zjeść obiad z nami – rzekła pani Bontemps do pani Swann. – Po obiedzie puściłybyśmy się razem na Verdurinów, porobić trochę w Verdurinach. Choćby to groziło ryzykiem, że „pryncypałka” wypatrzy się na mnie i nie zaprosi

mnie więcej, będziemy tam sobie siedziały, gawędząc we trójkę, czuję, że to by mnie najbardziej bawiło.

Ale twierdzenie to nie musiało być zbyt wiarogodne, bo pani Bontemps wypytywała:

– Jak panie myślicie, kto tam będzie od środy za tydzień? Co się tam będzie działo? Nie będzie chyba tak strasznie dużo ludzi?

– Ja z pewnością nie będę – rzekła Odeta. – Pokażemy się tylko na chwilę na ostatniej środzie. Jeżeli pani nie robi różnicy poczekać...

Ale pani Bontemps nie zdawała się zachwycona perspektywą odroczenia.

Zazwyczaj duchowe zalety jakiegoś salonu a jego elegancja znajdują się do siebie w stosunku raczej odwrotnym. Jednakże – skoro pani Bontemps mogła się wydawać Swannowi miła! – trzeba wierzyć, że wszelka degradacja ma ten skutek, iż czyni człowieka mniej wybrednym co do osób, z którymi zrezygnował się pędzić życie, mniej wybrednym co do dowcipu i co do reszty. I jeżeli to jest prawda, ludzie muszą, jak narody, widzieć, jak ich kultura, język nawet, giną wraz z ich niepodległością. Jednym z objawów tej pobłażliwości jest to, iż powiększa ona upodobanie, jakie, począwszy od pewnego wieku, znajdujemy w słowach będących hołdem dla naszego sposobu myślenia, dla naszych skłonności, zachętą, aby się im poddać; to ów wiek, w którym sławny artysta nad obcowanie twórczych duchów przekłada towarzystwo uczniów, mających z nim wspólną jedynie jego doktrynę, kładących mu, słuchających go; wiek, w którym

niepospolitemu mężczyźnie lub niepospolitej kobiecie, żyjącym dla miłości, najinteligentniejszą na jakimś zebraniu wyda się osoba może przeciętna, ale dowodząca jakimś słówkiem, iż rozumie i uznaje potrzeby zmysłów, głaszcząc w ten sposób mile ich skłonności. Był to również wiek, w którym Swann, zostawszy mężem Odety, lubił słyszeć z ust pani Bontemps, że śmieszne jest przyjmować same „grandessy” (z czego wyciągał wniosek, na wspak dawnemu Swannowi u Verdurinów, że to jest zacna kobieta, bardzo inteligentna i nie snobka), i lubił opowiadać jej historie, od których pani Bontemps „pękała ze śmiechu”, bo ich nie znała, i które zresztą „chwytiała” szybko, zawsze skłonna do pochlebstw i do zabawy.

– Zatem doktor nie przepada tak jak pani za kwiatami? – pytała pani Swann pani Cottard.

– Och, pani wie, mój mąż to mędrzec, umiarkowany jest we wszystkim. Ale nie, owszem, ma jedną namiętność.

– Jaka, jaką? – pytała pani Bontemps z okiem błyszczącym złośliwością, uciechą i zaciekawieniem.

Z prostotą pani Cottard odparła:

– Lekturę.

– Och, to jest niewinna namiętność u męża! – wykrzyknęła pani Bontemps, dławiąc szatański śmiech.

– Kiedy doktor utonie w książce, oho!

– No, to pani nie musi tak przerażać...

– Ależ owszem!... o jego wzrok. Muszę teraz wracać, pani Odeto, ale najbliższego dnia zapukam do pani wrót. À

propos wzroku, czy wiecie, że pałacyk, który świeżo kupiła pani Verdurin, będzie oświetlony elektrycznością? Wiem to nie przez moją osobistą policję, ale inną drogą: powiedział mi to sam Mildé, elektrotechnik. Widzicie panie, że cytuję źródła. Nawet w sypialniach będą lampy elektryczne z abażurami dla stonowania światła. To przemiły zbytek, prawda? Zresztą dzisiejsze pokolenie żąda wciąż czegoś nowego, jedna nowość goni drugą. Bratowa jednej z moich przyjaciółek dała u siebie założyć telefon. Może robić sprawunki, nie wychodząc z domu! Przyznaję, że dopuściłam się płaskich intryg, aby na jeden raz uzyskać dostęp do tego aparatu. Bardzo mnie to kusi, ale raczej u przyjaciółki niż u siebie. Zdaje mi się, że nie lubiłabym mieć telefonu w domu. Skoro minie pierwsza zabawa, to musi być prawdziwe urwanie głowy. No, pani Odeto, uciekam, nie zatrzymuj już pani Bontemps, skoro ofiaruje mi gościnę w swoim wehikule; trzeba mi się wyrwać stąd siłą, ładne rzeczy ze mną wyprawiasz, wrócę do domu po mężu!

I ja musiałem wracać, nim zakosztowałem owych zimowych rozkoszy, których lśniąca powłoką zdawały mi się złocienie. Rozkosze te nie przysły, mimo to pani Swann nie zdawała się już oczekiwać niczego. Pozwoliła służbie sprzątać herbatę, jakby oznajmiała: „Zamykamy”. I w końcu rzekła do mnie: „Więc naprawdę idzie już pan? A więc *good bye!*”. Czułem, że nawet zostawszy dłużej nie spotkałbym owych nieznanych rozkoszy i że nie sam tylko własny mój smutek pozbawia mnie ich. Czyż więc nie znajdują się na tej ubitej drodze godzin, wiodącej

zawsze tak szybko do chwili rozstania? Czy raczej spotkałoby się je na jakiejś bocznej drodze, której nie znałem i w którą trzeba by skręcić? Ale osiągnąłem bodaj cel wizyty. Gilberta będzie wiedziała, że byłem u rodziców w jej nieobecności i że zrobiłem tam, jak nie przestała powtarzać pani Cottard, „szturmem, przebojem, konkietę pani Verdurin”, która – dodała żona doktora – nikomu nie zwykła robić „tyle awansów”. „Musi – dodała – istnieć między państwem jakieś powinowactwo z wyboru”. Gilberta dowie się, że mówiłem o niej tak, jak należało, serdecznie, ale że nie jestem niezdolny żyć bez jej widoku, co uważałem za podstawę znudzenia, jakie Gilberta odczuwała przy mnie w ostatnich czasach.

Powiedziałem pani Swann, że nie mogę się już spotykać z Gilbertą. Powiedziałem to tak, jakbym postanowił nie widzieć jej już nigdy. A list, który miałem przesałać Gilbertce, byłby w tym samym duchu. Ale w myślach, aby sobie dodać odwagi, planowałem jedynie stanowczy i krótki wysiłek kilkudniowy. Powiadałem sobie: „Ostatni raz odrzucam widzenie Gilberty; następnym razem przyjmę”. Aby uczynić rozłąkę łatwiejszą do spełnienia, nie określiłem jej jeszcze jako ostateczną. Ale czułem, że nią będzie.

Nowy Rok był mi tego roku szczególnie bolesny. Gdy się jest nieszczęśliwym, wszystko jest ciężkie, co jest datą i rocznicą. Ale gdy chodzi na przykład o stratę drogiej istoty, cierpienie polega jedynie na żywszym porównaniu z przeszłością. W moim wypadku łączyła się z tym mętna nadzieja,

że Gilberta, zostawiwszy mi dotąd inicjatywę pierwszych kroków i stwierdziwszy, że ich nie zrobił, czeka jedynie pretekstu Nowego Roku, aby napisać do mnie tak: „Ostatecznie, o co chodzi, ja szaleję za tobą, przyjdź, rozmówimy się po prostu, nie mogę żyć bez ciebie”...

W ostatnich dniach kończącego się roku list ten wydawał mi się prawdopodobny. Myliłem się może, ale aby w coś uwierzyć, wystarcza pragnąć tego, potrzebować. Żołnierz wierzy, że mu będzie udzielona jakaś nieograniczona zwłoka, nim będzie zabity; złodziej – nim go złapią, wszyscy ludzie – nim umrą. To ów amulet, chroniący jednostki – czasami narody – nie od niebezpieczeństwa, ale od obawy niebezpieczeństwa, w istocie od wiary w niebezpieczeństwo, co w pewnych wypadkach pozwala stawić mu czoło, choćby się nie było szczególnie odważnym. Tego rodzaju ufność – i równie mało uzasadniona – krzepi zakochanego, gdy liczy na pojednanie, na list. Na to, abym nie oczekiwał tego listu, wystarczyłoby przestać go pragnąć. Choćby człowiek wiedział, że jest najobojętniejszy tej, którą jeszcze kocha, przypisuje jej serię myśli – bodaj obojętnych – chęć objawienia ich, komplikacje wewnętrzne, w których on jest przedmiotem może antypatii, ale też ciągłego zainteresowania. Aby, przeciwnie, wyobrazić sobie stan ducha Gilberty, należałoby mi po prostu antycypować w ów Nowy Rok to, co będę odczuwał tego dnia w przyszłych latach, kiedy pamięć, milczenie, czułość lub chłód Gilberty uszłyby prawie niepostrzeżone moim oczom i kiedy bym nie pomyślał, ani nawet

mógł pomyśleć o rozwiązywaniu problemów nieistniejących już dla mnie. Kiedy kochamy, miłość jest za wielka, aby się mogła w nas pomieścić cała; promieniuje ku kochanej osobie, spotyka w niej powierzchnię, która zatrzymuje tę miłość i wysyła ją z powrotem; i to odbicie własnej naszej czułości, nazywamy uczuciem drugiej osoby; ono to czaruje nas więcej, niż kiedy szło ku niej, bo nie poznajemy, że jest z nas samych.

Pierwszy stycznia wydzwonił wszystkie swoje godziny bez jej listu. Że zaś otrzymałem nieco życzeń późnych lub spóźnionych wskutek zatoru poczty w owych dniach, jeszcze trzeciego i czwartego stycznia spodziewałem się wciąż listu Gilberty, ale coraz to mniej. Przez następne dni płakałem dużo. Z pewnością pochodziło to stąd, że wyrzekłszy się Gilberty mniej szczerze, niż sądziłem, zachowałem ową nadzieję listu od niej na Nowy Rok. I wyczerpawszy tę nadzieję, nim miałem czas zaopatrzyć się w drugą, cierpiałem niby chory, który zużył fiolkę morfiny, nie mając pod ręką nowej.

Ale może – i te dwa wykłady nie wykluczają się wzajem, bo jedno uczucie składa się czasami z kilku uczuć sprzecznych – nadzieja, iż otrzymam wreszcie list, zbliżyła do mnie obraz Gilberty, odrodziła dawne wzruszenia płynące z oczekiwania wizyty u niej, z jej widoku, z jej zachowania się. Bezpośrednia możliwość pojednania zabiła tę rzecz, z której ogromu nie zdajemy sobie sprawy – rezygnację. Neurastenicy nie mogą uwierzyć, gdy ich ktoś zapewnia, że się uspokoją stopniowo, pozostając w łóżku bez listów i gazet. Wyobrażają sobie, że ten

tryb pogorszy jedynie stan ich nerwów. Podobnie zakochani, oceniając ten środek z perspektywy wręcz przeciwnego stanu, nie podjąwszy próby, nie mogą uwierzyć w dobroczynną moc wyrzeczenia się.

Z powodu zbyt silnego bicia serca zmniejszono mi dawki kofeiny; bicie serca ustało. I zacząłem się zastanawiać, czy to nie z kofeiny po trosze był ów ucisk serca, jakiego doznawałem wówczas, kiedym się prawie poróżnił z Gilbertą i którego każdy nawrót przypisywałem męczarniom rozstania lub obawie, żebym ujrzał Gilbertę tak samo nadaśaną. Ale jeżeli ten narkotyk był źródłem moich cierpień, fałszywie w takim razie tłumaczonych przez moją wyobraźnię (w czym nie byłoby nic niezwykłego, ile że najokrutniejsze cierpienia moralne miewają często u kochanków źródło w fizycznym przyzwyczajeniu do kobiety, z którą żyją), był on niby ów kordiał, który długo po zażyciu wciąż wiązał Tristana do Izoldy. Bo poprawa fizyczna, jaką zmniejszenie dawek kofeiny spowodowało u mnie prawie natychmiast, nie powstrzymała rozwoju zgryzoty, którą niegdyś narkotyk, o ile jej nie wywołał, to bodaj zdołał zaostriżyć.

Ale kiedy nadeszła połowa stycznia, skoro się rozwiały nadzieje noworocznego listu i uśmierzył się ból towarzyszący ukojonemu wreszcie zawodowi, wówczas zaczęła się na nowo moja zgryzota sprzed Świąt. A najokrutniejsze było w niej może to, że ja byłem sam jej nieświadomym, samowolnym, bezlitosnym i cierpliwym twórcą. Ja sam pracowałem nad tym, aby uniemożliwić jedyną rzecz, na której mi zależało,

stosunki z Gilbertą, stwarzając pomąłu, przedłużeniem rozłąki, obojętność nie Gilberty, ale – co miało wyjść w końcu na jedno – swoją własną. Pracowałem zaciekle nad długim i okrutnym samobójstwem tego **siebie**, który we mnie kochał Gilbertę; pracowałem, widząc jasno nie tylko to, co robię w danej chwili, ale co stąd wyniknie na przyszłość. Wiedziałem nie tylko, że za jakiś czas nie będę już kochał Gilberty, ale i to, że ona będzie żałowała tego i że jej ówczesne próby widywania się ze mną będą równie daremne jak dzisiejsze, już nie dlatego żebym ją kochał zanadto, ale że będę z pewnością kochał inną kobietę, upragnioną i oczekiwaną przez godziny, z których nie śmiałybym uronić ani cząsteczki dla Gilberty, będącej mi już wówczas niczym. I z pewnością w tej samej chwili, kiedy (skoro postanowiłem jej nie widzieć, chyba w razie formalnego żądania wyjaśnień, wyznania miłości z jej strony, co nie miało już żadnych widoków) straciłem Gilbertę i kochałem ją tym więcej, czułem, czym ona była dla mnie, lepiej niż w poprzednim roku, kiedy, spędzając z nią do woli wszystkie popołudnia, wierzyłem, że nic nie grozi naszej przyjaźni. I z pewnością w owej chwili myśl, że mógłbym kiedyś odczuwać to samo dla innej, była mi wstrętna; bo ta myśl zabierała mi oprócz Gilberty moją miłość i moje cierpienie. Moją miłość, moje cierpienie, w których z płaczem starałem się uchwycić, czym właściwie jest Gilberta; i trzeba mi było uznać, że ta miłość i to cierpienie nie są specjalnie jej własnością i że, wcześniej lub później, staną się wianem jakiejś innej kobiety.

W ten sposób – tak myślałem wówczas – uczucia nasze są zawsze niezależne od istot; kiedy kochamy, czujemy, że ta miłość nie nosi ich imienia, że będzie się mogła odrodzić, że byłaby mogła zrodzić się nie dla tej, ale dla innej. I jeżeli w czasie, gdy nie kochamy, godzimy się filozoficznie z tym co jest sprzecznego w miłości, to dlatego, że tej miłości, o której rozprawiamy swobodnie, nie czujemy wówczas, zatem nie znamy jej, ile że znajomość tych spraw jest przerywana i nie trwa poza istotną obecność uczucia.

O tej przyszłości, w której przestałbym już kochać i którą moje cierpienie pomagało mi zgadywać, mimo iż wyobrażnia nie umiała jej jeszcze sobie jasno odtworzyć, z pewnością byłby jeszcze czas uprzedzić Gilbertę; uprzedzić ją, że się ta przyszłość ukształtuje pomału, że jej nadejście, jeżeli nie grozi natychmiast, jest w każdym razie nieuchronne, o ile ona sama nie przyjdzie mi z pomocą i nie zniweczy w zarodku mojej przyszłej obojętności. Ileż razy chciałem już pisać lub iść powiedzieć Gilbertcie: „Uważaj, powziąłem postanowienie; krok, który czynię, jest krokiem ostatecznym. Widzę cię ostatni raz. Wkrótce nie będę cię już kochał”.

Na co? Jakim prawem wyrzucałbym Gilbertcie obojętność, którą, nie poczuwając się w tym do żadnej winy, żywiłem dla wszystkiego, co nie było nią? Ostatni raz! Mnie się to wydawało czymś olbrzymim, bom kochał Gilbertę. Na niej zrobiłoby to z pewnością tyle wrażenia, co owe listy, w których przyjaciel, opuszczając na zawsze kraj, prosi o widzenie się

z nami; i my odmawiamy mu tego spotkania – jak nudnym kobietom, które nas kochają, aby gonić za jakąś przyjemnością. Czas, którym rozporządzamy każdego dnia, jest elastyczny; namiętności, które odczuwamy, rozprzestrzeniają ów czas; te, które budzimy, kurczą go, a przyzwyczajenie wypełnia go.

Zresztą, daremnie bym mówił do Gilberty, nie usłyszałaby mnie. Kiedy mówimy, wyobrażamy sobie zawsze, że to nasze uszy słuchają, że to nasz duch słucha. Moje słowa doszłyby Gilberty skrzywione, tak jakby miały do przebycia ruchomą zasłonę wodospadu; zmienione do niepoznania, śmieszny dźwięk, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Prawda, jaką wkładamy w słowa, nie toruje sobie drogi wprost, nie posiada nieodpartej oczywistości. Musi upłynąć sporo czasu, aby się w nich wykrystalizowała analogiczna prawda. Wówczas polityk, który, mimo wszystkich argumentów i dowodów, uważał przeciwnika politycznego za zdrajcę, dzieli sam znieprawione przekonania, obojętne już temu, który daremnie starał się je szerzyć. Wówczas arcydzieło, które czytającym je głośno wielbicielom wydawało się czymś bezsprzecznie genialnym, tym zaś, co go słuchali, dawało jedynie niedorzeczny lub mierny obraz, będzie przez nich okrzyknięte arcydziełem – zbyt późno, aby autor mógł się o tym dowiedzieć. Podobne zapory istnieją w miłości i co bądź by czynił ten którego one przywodzą do rozpacz, nie ma sposobu skruszenia ich z zewnątrz; dopiero kiedy już nie będzie dbał o nie, naraz, dzięki pracy pochodzącej z drugiej strony, spełnionej we wnętrzu osoby, która nie kochała,

zapory te, zwalczane niegdyś bezskutecznie, padną bez pożytku. Gdybym oznajmił Gilbertcie swoją przyszłą obojętność i sposób zapobieżenia jej, wywnioskowałyby z tego, że miłość moja dla niej, że potrzeba jej obecności, są jeszcze większe, niż sądziła, i znudzenie jej moim widokiem jeszcze by od tego wzrosło. I faktem zresztą jest, że to ta miłość, przez rozbieżne stany duszy, jakie kolejno we mnie stwarzała, pomagała mi przewidzieć – lepiej niż to mogła uczynić Gilberta – koniec tej miłości. A jednak skierowałbym może do Gilberty, listownie lub ustnie, takie ostrzeżenie, kiedy by upłynęło dosyć czasu, czyniąc mi ją w istocie mniej nieodzowną, ale też dowodząc jej, że mogę bez niej istnieć. Niestety, pewne osoby, w dobrej lub w złej intencji, mówiły jej o mnie w sposób, który musiał w Gilbertcie wywołać wrażenie, że czynią to na moją prośbę. Za każdym razem, kiedy się dowiedział, że Cottard lub moja matka, lub nawet pan de Norpois, unicestwili niezręcznym słowem całe moje męczeństwo, że zniszczyli owoc moich wyrzeczeń, dając mi fałszywie pozór, że się nimi znużył, odczuwałem podwójną przykrość. Po pierwsze, mogłem datować dopiero od tego dnia swoją przykrą i płodną abstynencję, którą intruzi bez mojej wiedzy przerwali i tym samym zanulowali. Po wtóre, mniej znalazłbym obecnie przyjemności w ujrzeniu Gilberty, która wyobrażała mnie sobie teraz nie pełnym godnej rezygnacji, lecz manewrującym pokątnie dla zdobycia spotkania, którego nie raczyła mi udzielić. Przeklinałem puste gadulstwo ludzi, którzy często nawet bez chęci szkodzenia lub pomagania, bez celu, po

to aby gadać, czasem dlatego, że my sami nie mogliśmy się wstrzymać od gadania w ich obecności i że są niedyskretni (jak my), wyrządzają nam w danym momencie tyle złego. Prawda, iż w opłakanym dziele zniweczenia naszej miłości dalecy są od dorównania sprawności dwojga osób, które zwykły, jedna z nadmiaru dobroci, druga z nadmiaru złości, wszystko niszczyć w chwili, gdy wszystko miało się ułożyć. Ale do tych dwóch osób nie mamy żalu jak do niewczesnych Cottardów, bo drugą z nich jest ta, którą kochamy, a pierwszą my sami.

Ale ponieważ za każdym prawie razem, kiedy ją odwiedzałem, pani Swann zapraszała mnie na podwieczorek do córki i mówiła, żebym dał znać Gilbertcie wprost, pisywałem często do niej. W tej korespondencji nie dobierałem słów, jakie mogłyby – jak sądziłem – przekonać Gilbertę: starałem się jedynie utorować najśłodsze łożysko dla płynących łez. Bo żal, jak pragnienie, stara się nie analizować, ale uczynić sobie zadość; gdy zaczynamy kochać, żyjemy nie dociekaniem, czym jest jej miłość, ale obmyślaniami jutrzejszej schadzki. Kiedy się wyrzekamy miłości, nie staramy się objąć swojej zgryzoty, ale objawić ją jej sprawczyni w formie, która nam się wyda najbardziej wzruszająca. Mówimy rzeczy, których mówienia czujemy potrzebę, a których druga strona nie zrozumie, mówimy tylko dla siebie samych. Pisałem: „Sądziłem, że to nie byłoby możliwe. Niestety, widzę, że to nie jest takie trudne”. Mówiłem także: „Prawdopodobnie nie ujrzę cię już”; mówiłem to, w dalszym ciągu wystrzegając się chłodu, który

by się mógł Gilbercie wydać sztuczny; i słowa te, kiedy je pisałem, wyciskały mi łzy, bom czułem, że wyrażają nie to, w co chciałbym wierzyć, ale to, co się stanie naprawdę. Za najbliższą bowiem propozycją spotkania ze strony Gilberty, znalazłbym jeszcze, jak tym razem, odwagę przewyciężenia się; i tak stale odmawiając, doszedłbym stopniowo do chwili, w której na skutek niewidywania Gilberty, przestałbym pragnąć ją widzieć. Płakałem, ale znajdowałem siłę; poznawałem słodycz wyrzeczenia się widoku Gilberty w imię możliwości podobania się jej kiedyś, w dniu, gdy, niestety, będzie mi to już obojętne. Samo przypuszczenie, choć tak nieprawdopodobne, że w tej chwili (jak to Gilberta utrzymywała podczas ostatniej mojej wizyty) ona mnie kocha; że to, com brał za nudę i przesyt, było jedynie zazdrosną podejrzliwością, udanym chłodem podobnym do mojego własnego – przypuszczenie to czyniło mi decyzję jedynie mniej okrutną. Zdawało mi się wówczas, że za kilka lat, kiedy już zapomnimy o sobie wzajem, kiedy będę mógł retrospektywnie powiedzieć Gilbercie, że list, który do niej pisałem w tej chwili, nie był szczery, ona mi odpowie: „Jak to, pan mnie kochał? Gdyby pan wiedział, jak ja czekałam tego listu, jak marzyłam o ujrzaniu pana, jak opłakałam ten list!”. I podczas gdy pisałem do Gilberty tuż po powrocie od jej matki, ta myśl, że właśnie może dopełniam aktu owego nieporozumienia, ta myśl, przez sam swój smutek, przez słodycz rojenia, że mnie Gilberta kocha, kazała mi pisać dalej.

O ile ja, żegnając się z panią Swann z końcem jej

„herbaty”, myślałem o tym, co napiszę do Gilberty, pani Cottard, odchodząc, miała myśli zupełnie odmiennego rodzaju. Robiąc swoją „małą inspekcję”, nie omieszkała powinszować pani Swann jej nowych mebli, świeżych „nabytków” zauważonych w salonie. Mogła zresztą tam odnaleźć, mimo że w niewielkiej ilości, przedmioty, które Odeta miała w swojej willi przy ulicy La Pérouse'a, zwłaszcza zwierzęta z kosztownych materiałów, jej fetysze.

Ale pani Swann, nauczywszy się od jednego z przyjaciół, którego wysoko ceniła, słowa „tandetka” – słowo to otworzyło jej nowe horyzonty, gdyż oznaczało właśnie rzeczy, które kilka lat wprzód wydały jej się „szykiem” – wyprawiła kolejno wszystkie te rzeczy na emeryturę, w ślad za złoconą kratą służącą za oparcie złocieniom, w ślad za niejedną bombonierką od Giroux i papierem listowym z koroną (nie mówiąc już o luidorach z kartonu rozsypanych na kominku, które o wiele jeszcze przed poznaniem Swanna, jakiś wytworny pan poradził jej skasować). Zresztą w jej artystycznym nieładzie, w pracownianym *bric-à-brac*, z pokoiów o ścianach jeszcze malowanych ciemno, co je tak bardzo różniło od białych salonów, jakie pani Swann miała mieć nieco później, Daleki Wschód ustępował coraz bardziej inwazji XVIII wieku; poduszki, które, iżby mi było bardziej *comfortable*, pani Swann piętrzyła i ugniatała za moim grzbietem, były usiane bukietami **Louis XV**, a nie już, jak dawniej, chińskimi smokami. W pokoju, gdzie zastawało się ją najczęściej i o którym mówiła: „Owszem, dosyć ten pokój lubię,

dużo przebywam tutaj; nie mogłabym żyć pośród rzeczy wrogich i banalnych, tu najlepiej mi się pracuje” (nie precyzując zresztą, czy pracuje nad obrazem, może nad książką, ile że gust pisania zaczynał się pojawiać u kobiet, lubiących coś robić, czymś się zając), Odeta była otoczona cackami *vieux Saxe* (lubiła tę markę porcelany, której nazwę wymawiała z akcentem angielskim, powtarzając przy lada sposobności: to ładne, to podobne do kwiatów *vieux Saxe*), obawiała się dla nich, bardziej jeszcze niż niegdyś dla swoich magotów, niezręcznych rąk lokajów i za lęki, o jakie ją przyprawiali, mściła się wybuchami, którym Swann, ten tak uprzejmy i łagodny pan domu, przyglądał się bez protestu. Jasne widzenie pewnych ujemnych stron nie zmniejsza w niczym tkliwości; przeciwnie, tkliwość sprawia, że się nam wydają urocze.

Obecnie Odeta przyjmowała swoich bliskich rzadziej już w japońskich szlafroczkach, raczej w jasnych i musujących peniuarach Watteau, których kwitnącą pianę pieściła dłonią na piersiach i w których kąpała się, przeciągała, trzepotała z takim poczuciem komfortu, świeżości skóry, z taką pełnią oddechu, jakby je uważała nie za dekorację, ramę, ale za coś niezbędnego, jak „*tub*” i „*footing*”, dla konserwowania swojej fizjonomii i dla wyrafinowań higieny. Chętnie mówiła, że łatwiej obeszlaby się bez chleba niż bez sztuki i czystości, i że bardziej by ją martwiło patrzeć, jak palą *Giocondę* niż „obfitość” osób spośród jej znajomych. Teorie te wydawały się przyjaciółkom Odety paradoksalne, ale sprawiały, że uchodziła w ich oczach za

kobietę wyższą i zyskały jej raz na tydzień wizytę ambasadora belgijskiego. W małym świątku, którego Odeta była słońcem, każdy bardzo by się zdziwił, dowiadując się, że gdzie indziej, u Verdurinów na przykład, uchodziła za głupią. Wskutek tej żywości umysłu, pani Swann wołała towarzystwo mężczyzn niż kobiet. Ale kiedy krytykowała kobiety, czyniła to zawsze jak kokota, podkreślając wady zdolne im zaszkodzić w oczach mężczyzn, grube kostki, brzydką cerę, braki ortografii, włosy na nogach, przykry zapach, fałszywe brwi. Dla tych, które jej okazały niegdyś dobroć i pobłażliwość, była czulsza, zwłaszcza jeżeli popadły w nieszczęście. Broniała umiejętnie takiej kobiety, mówiąc: „Świat jest dla niej niesprawiedliwy, to bardzo miła kobietka, ręczę wam”.

Nie tylko urządzenie salonu, ale samą Odetę z trudnością poznałaby pani Cottard oraz wszyscy ci, którzy bywali u pani de Crécy, gdyby jej nie widzieli przez czas dłuższy. Wydawała się o tyle młodsza niż dawniej! Bez wątpienia, pochodziło to po części stąd, że utyla i że była zdrowsza, wyglądała spokojniejsza, świeższa, wypoczęta; z drugiej strony nowe, gładkie uczesanie poszerzało jej twarz, którą ożywiał różowy puder i w którą oczy i profil Odety, niegdyś zbyt wyraziste, zdawały się teraz wsiąkać. Ale inną przyczyną zmiany było to, że doszedłszy szczytowego punktu swego życia, Odeta odkryła w sobie wreszcie – lub wynalazła – fizjonomię osobistą, niezmienny „typ”, „rodzaj piękności” i że swoim nieregularnym rysom – które tak długo, zdane na przygodne i jałowe kaprysy ciała, za lada zmęczeniem

przybierając lat, postarzając ją na chwilę, stwarzały poniekąd Odecie, wedle jej humoru i wyglądu, twarz przypadkową, zależną od dnia, nieregularną i uroczą – narzuciła – ten stały typ niby nieśmiertelną młodość.

Zamiast obecnych pięknych fotografii żony, na których wspólny im zagadkowy i zwycięski wyraz pozwalał rozpoznać, bez względu na suknię i kapelusz, tryumfalną twarz i sylwetę Odety, Swann miał w swoim pokoju mały, stary dagerotyp, bardzo prosty, wcześniejszy od owego dzisiejszego typu. Młodość i piękność Odety, jeszcze przez nią nie znalezione, zdawały się tam nieobecne. Ale zapewne Swann, wierny przeszłości lub do niej nawrócony, smakował bardziej botticellowski wdzięk w szczupłej, młodej kobiecie o zadumanych oczach, o znużonych rysach, w pozie wahającej się między chodem a bezruchem. Lubił w istocie jeszcze widzieć w żonie Botticellego. Odeta, która, przeciwnie, starała się nie wydobyć, ale wyrównać, pokryć to, co się jej w niej samej nie podobało, to, co dla artysty było może jej „typem”, ale co ona jako kobieta uważała za wadę, nie chciała słyszeć o tym malarzu. Swann miał cudowną wschodnią szarfę, błękitno-różową, którą kupił, bo była identyczna z szarfą Madonny z *Magnificat*. Ale pani Swann nie chciała jej nosić. Raz tylko pozwoliła mężowi zamówić tualetę całą usianą stokrociami, bławatkami, niezapominajkami i dzwonkami wedle Primavera. Czasami, wieczorem, kiedy Odeta była zmęczona, Swann zwracał mi po cichu uwagę, jak ona bezwiednie daje swoim zamyślonym

ręką subtelny, nieco sztuczny gest Madonny, maczającej pióro w kałamarzu podawanym jej przez anioła, aby pisać w świętej księdze, gdzie już widnieje słowo *Magnificat*. Ale dodawał: „Niech jej tylko pan nic nie mówi; wystarczyłoby jej wiedzieć, aby to zaraz odmieniła”.

Poza tymi chwilami mimowolnej miękkości, w której Swann silił się odnaleźć melancholijny rytm Botticellego, ciało Odety było teraz wycięte niby sylweta całkowicie okolona „linią”, która, aby opisać kontur kobiety, opuściła przygodne drogi, sztuczne wklęsłości i wypukłości, siatki, niespokojne komplikacje dawnej mody, ale która też, tam gdzie akt mylił się, wybiegając w tym lub innym sensie poza idealny wykres, umiała śmiałym ruchem naprostować odchylenia natury, uzupełnić w całych partiach niedomagania zarówno ciała jak materii. Poduszcзки, szkielet okropnej „tiurniury”, znikły, zarówno jak owe staniki z baskinami, które, zachodząc na spódnice, naciągnięte fiszbinami, długo stwarzały Odecie sztuczny brzusek, czyniąc ją złożoną z rozmaitych części, niezwiązanych osobowością. Prostopadłość frędzli i krzywizna riuszek ustąpiły miejsca płynności ciała, które pulsowało jedwabiem jak syrena bije falę i dawało perkalinie wyraz ludzki, obecnie, kiedy się to ciało wyłoniło, jako zorganizowany i żywy kształt, z długiego chaosu i z mglistego całunu zdetronizowanych mód.

Jednakże pani Swann chciała i umiała zachować ślad niektórych mód wśród tych, co je zastąpiły. Kiedy wieczorem, nie mogąc pracować i pewien, iż Gilberta jest w teatrze

z przyjaciółkami, zaszedłem niespodzianie do jej rodziców, zastawałem często panią Swann w wytwornym dezabilu, którego spódnicę pięknego ciemnego koloru, ciemnoczerwoną albo pomarańczową – kolory zdające się mieć jakieś osobliwe znaczenie, bo były już niemodne – skośnie przecinał ażurowy i szeroki pas czarnej koronki, przypominający dawne wolanty. Kiedy w jakiś chłodny jeszcze wiosenny dzień pani Swann zabrała mnie – przed moim zerwaniem z Gilbertą – do Ogrodu Zoologicznego, wówczas pod żakietem, rozpiętym, o ile się zgrzała od szybkiego chodzenia, wycinane falbany u szmizetki wyglądały niby wyłogi jakiejś nieobecnej kamizelki, podobnej do tych, które pani Swann nosiła kilka lat wprzód i przy których lubiła te lekkie ząbki. Toż samo krawat swój – z gatunku „szkockich”, któremu została wierna, ale łągodząc tony (czerwone stało się różowym, a niebieskie lila), tak iż można by prawie myśleć o owych taftach *gorge de pigeon*, stanowiących ostatnią nowość – wiązała pod brodą w taki sposób, że przywodził nieodparcie na myśl aksamitki u kapeluszy, jakich się już nie nosiło. Byłe tylko umiała tak „przetrzeć” jakiś czas, a młodzi ludzie, próbując zrozumieć jej tualety, będą mówili: „Pani Swann, nieprawdaż, to cała epoka?”. Jak w pięknym stylu, skupiającym rozmaite formy, a skrzepionym utajoną tradycją, tak w tualecie pani Swann owe mętne wspomnienia kamizelek, klamer, czasem zdławiona natychmiast tendencja do „*saute en barque*”, aż do odległej i mglistej aluzji do „*suivez-moi jeune homme*”, pozwalały pod konkretną formą

krażyć szczątkowemu podobieństwu innych dawniejszych form, których nie można by tam odnaleźć istotnie zrealizowanych przez krawcową lub modystkę, ale o których myślało się wciąż i które spowijały panią Swann w jakąś szlachetność – może dlatego, że sama bezużyteczność owych ozdób stwarzała im pozór celu ponadużytkowego, może dzięki zachowanym śladom minionych lat lub jakiejś toaletowej indywidualności, właściwej tej kobiecie i dającej najodmienniejszym strojom Odety wspólne rodzinne rysy. Czuło się, że ona się ubiera nie tylko dla wygody lub dla ozdoby ciała; była spowita swoją toaletą niby delikatnym i uduchowionym dostojnością cywilizacji.

Kiedy Gilberty, która zazwyczaj urządziła swoje podwieczorki w dniu przyjęć matki, miało nie być w domu i kiedy tym samym mogłem się wybrać do pani Swann, zastawałem ją w którejś z pięknych sukien, czasem taftowej albo *faille*, albo aksamitnej, albo *crêpe de Chine*, albo aksamitnej, albo jedwabnej. Suknie owe, już nie puszczane jak szlafroczy, które zazwyczaj Odeta nosiła w domu, ale obmyślane jakby do wyjścia, dawały w takie popołudnie jej wywczasom coś żwawego i czynnego. I bez wątpienia śmiała prostota ich kroju była wybornie dostrojona do figury pani Swann i do jej ruchów, a rękawy były jak gdyby zmieniającym się co dnia kolorem tych ruchów; można by rzec, że jest nagła decyzja w błękitnym aksamicie, łaskawy humor w białej tafci, i że jakaś ostateczna i dystygowana rezerwa w sposobie wysuwania ręki, przybrała, aby się ucieleśnić, postać czarnej

crêpe de Chine, błyszczącej uśmiechem wielkich poświęceń. Ale równocześnie owym sukniom – tak żywym – komplikacja ozdób bez praktycznego użytku, bez widocznej racji bytu, przydawała coś bezinteresownego, zamyślonego, sekretnego, harmonizującego z melancholią, jaką pani Swann zachowywała zawsze bodaj w podkrążeniu oczu i w palcach. Pod mnogością *porte-bonheur* z szafiru, czterolistnych koniczyn z emalii, srebrnych medali, złotych medalionów, turkusowych amuletów, rubinowych łańcuszków, rżniętych topazów, bywał w samej jej sukni jakiś kolorowy deseń, przedłużający na wskrzeszonej wstawce jej dawniejszą egzystencję, jakiś rząd ek atłasowych guziczków, niezapinających niczego i niedających się odpiąć, jakiś sutasz starający się pogłaskać mile wiernością i dyskrecją delikatnej aluzji... Szczegóły te, tak samo jak klejnoty, robiły wrażenie – inaczej nie miałyby żadnego usprawiedliwienia – iż zdradzając jakąś intencję, są zakładem jakiejś czułości, pamiątką zwierzeń, że odpowiadają jakiemuś zabobonowi, zachowują pamięć jakiegoś wyleczenia, ślubu, miłości lub gry w filipka. I czasami w niebieskim aksamicie stanika cień wypustki **Henri II**, w czarnej atłasowej sukni lekkie wzdęcie, które czy to na rękawach, w pobliżu ramion, kazało myśleć o „*gigots*” 1830, czy przeciwnie, pod spódnicą o *paniers* Louis XV, stwarzało sukni nieznaczny pozór kostiumu i przemycając pod obecnym życiem niedostrzegalną reminiscencję przeszłości, dawały osobie pani Swann urok heroin historii lub powieści. Kiedy jej na to zwracałem uwagę, odpowiadała: „Nie gram w golfa, jak wiele

moich przyjaciółek. Nie miałabym żadnego usprawiedliwienia, aby się ubierać jak one w swetry”.

W rozcgardiaszu salonu, wracając, odprowadziwszy gościa lub biorąc talerz z ciastkami, aby go podać innemu gościowi, pani Swann, przechodząc koło mnie, brała mnie na sekundę na bok: „Mam specjalną misję od Gilberty, aby pana zaprosić na śniadanie pojutrze. Nie będąc pewna, czy pana zobaczę, miałam do pana napisać, w razie gdyby pan dziś nie przyszedł”. Wciąż się opierałem. I ten opór kosztował mnie coraz mniej, bo choćby się lubiło truciznę, która nam szkodzi, kiedy jakaś okoliczność pozbawiła nas jej od jakiegoś czasu, niepodobna nie cenić spoczynku, którego się już nie znało, braku wzruszeń i cierpień. Jeżeli nie jesteśmy zupełnie szczerzy, powiadając sobie, iż nie zechcemy nigdy oglądać tej, którą kochamy, nie byłibyśmy też całkiem szczerzy, mówiąc, iż chcemy ją ujrzeć. Niewątpliwie, możemy znieść rozłąkę jedynie z tą nadzieją, iż będzie krótka, myśląc o dniu, gdy odnajdziemy ukochaną; ale z drugiej strony czujemy, o ile te codzienne marzenia o bliskim i wciąż odkładanym spotkaniu mniej są bolesne, niż byłoby samo widzenie, zdolne znów pociągnąć za sobą zazdrość; tak iż wiadomość, że się znów ujrzy przedmiot ukochania przyniosłaby wzruszenie niezbyt miłe. Odsuwamy teraz z dnia na dzień już nie koniec nieznośnej męki spowodowanej rozłąką, ale niebezpieczny powrót wzruszeń bez wyjścia. O ileż od takiego spotkania wolimy łagodne wspominki, uzupełniane do woli marzeniem, w którym ta, co w rzeczywistości nie

kocha nas, oświadcza się nam, przeciwnie, z miłością, gdy jesteśmy sami! Owo wspomnienie, które, wkładając w nie stopniowo wszystko, czego się pragnie, można uczynić tak słodkim, o ileż miłsze jest od odsuwanej wciąż rozmowy z istotą, której nie dyktowalibyśmy już do woli upragnionych słów, zmuszeni, przeciwnie, znosić jej niechęci, kaprysy i burze. Wiemy wszyscy, kiedy już nie Kochamy, że niepamięć, nawet mgliste wspomnienie, nie sprawiają tylu cierpień, co nieszczęśliwa miłość. Nie przyznając się do tego przed sobą, wolałem kojącą słodycz takiej antycypowanej niepamięci.

Zresztą, o ile taka kuracja psychicznego oderwania się i izolacji może być przykra, staje się ona coraz to mniej przykra z innej przyczyny. Mianowicie taka kuracja osłabia – zanim ją uleczy ową *idée fixe*, jaką jest miłość. Moja miłość była jeszcze na tyle mocna, aby mi zależało na odzyskaniu w oczach Gilberty dawnego uroku, który dzięki mojemu dobrowolnemu odsunięciu się musiał (tak sądziłem) stopniowo rosnąć, tak iż każdy z tych spokojnych i smutnych dni spędzonych z dala od niej, jednym ciągiem, bez przerwy, bez przedawnienia (o ile jakiś natręt nie wmieszał się do tego), był dniem nie straconym, ale zyskanym. Zyskanym może daremnie, bo rychło można by mnie nazwać wyleczonym. Rezygnacja, odmiana przyzwyczajenia pozwala pewnym siłom wzrastać nieograniczenie. Siły, jakimi rozporządzałem, aby je przeciwstawić swemu cierpieniu, tak wątle pierwszego wieczora po kłótni z Gilbertą, osiągnęły później nieobliczalną potęgę. Tylko że tendencję do trwania,

właściwą wszystkiemu, co istnieje, przerywają często nagłe impulsy, którym poddajemy się tym łatwiej, bo wiemy, przez ile dni, przez ile miesięcy, mogliśmy i będziemy jeszcze mogli wyrzekać się czegoś. I często – jak skarbonkę z oszczędnościami wypróżnia się nagle, gdy już ma być pełna – przerywamy kurację, nie czekając jej wyniku, wówczas gdyśmy się już do niej przyzwyczaili. I jednego dnia, kiedy pani Swann mówiła mi, jak zwykle, o przyjemności, jaką Gilbertcie sprawiłby mój widok, ujrzałem nagle na odległość ręki szczęście, którego pozbawiałem się tak długo. Wstrząsnęła mnie myśl, że jeszcze jest możliwe kosztować tego szczęścia. I ledwo mogłem doczekać jutra; postanowiłem zejść do Gilberty niespodzianie, przed jej obiadem.

Pewien projekt pomógł mi przetrwać cierpliwie cały dzień. Skoro wszystko jest zapomniane, kiedym się pogodził z Gilbertą, chciałem ją widywać już tylko w charakterze zakochanego. Codziennie będzie otrzymywała ode mnie najpiękniejsze kwiaty. A gdyby pani Swann, mimo iż nie miała prawa być zbyt surową matką, nie pozwoliła mi co dzień posyłać córce kwiatów, wymyśliłbym podarki kosztowniejsze, a mniej częste. Rodzice nie dawali mi tyle pieniędzy, abym mógł kupować rzeczy drogie. Pomyślałem o wielkim wazonie ze starej chińskiej porcelany, który dostałem po cioci Leonii, a któremu mama przepowiadała co dzień, że dziś czy jutro Franciszka przyjdzie z oznajmieniem: „Rozleciało się”, i że nie zostanie z wazonu nic. W tych warunkach, czyż nie było rozsądniej sprzedać go, aby

móc swobodnie dostarczać Gilbertcie wszystkich przyjemności? Sądziłem, iż zdołam uzyskać za ten wazon tysiąc franków. Kazałem go zawinąć; przyzwyczajenie było przyczyną, żem go nigdy nie widział; rozstanie się miało bodaj tę korzyść, żem się z nim zapoznał. Zabrałem z sobą wazon, wybierając się do Swannów; podając woźnicy ich adres, kazałem mu jechać przez Pola Elizejskie, stanąć na rogu, gdzie miał sklep wielki handlarz chińszczyzny, znajomy ojca. Ku memu zdumieniu, ofiarował mi z miejsca nie tysiąc, ale dziesięć tysięcy franków. Wziąłem te banknoty z upojeniem: przez cały rok będę mógł co dzień obsypywać Gilbertę różami i bzem! Kiedy wsiadłem do dorożki, wychodząc od kupca, woźnica – całkiem naturalnie, skoro Swannowie mieszkali w pobliżu Lasku – pojechał, zamiast zwykłej drogi, aleją Pól Elizejskich. Już minął róg ulicy du Berri, kiedy w zmroku wydało mi się, że bardzo blisko domu Swannów poznaję Gilbertę, ale oddalającą się w przeciwnym kierunku. Szła wolno, mimo że swobodnym krokiem, obok młodego człowieka, z którym rozmawiała, ale którego nie mogłem rozpoznać. Podniosłem się z siedzenia, aby kazać stanąć, potem zawahałem się. Przechadzająca się para była już dość daleko; miękkie i równoległe linie wykreślone ich wolnym posuwaniem się wsiąkały w cień elizejski. Niebawem znalazłem się w domu Gilberty. Przyjęła mnie pani Swann.

– Och, Gilberta będzie w rozpaczycy – rzekła – nie wiem, jakim cudem nie ma jej. Było jej bardzo gorąco na lekcji, powiedziała, że chce się trochę przejść z koleżanką.

– Mam wrażenie, że ją widział przed chwilą na Polach Elizejskich.

– Nie sądzę, aby to była ona. W każdym razie niech pan nie mówi nic mężowi, on nie lubi, aby Gilberta wychodziła o tej porze. *Good evening.*

Wyszedłem, kazałem woźnicy jechać tą samą drogą, ale nie spotkałem ich. Gdzie byli? Co sobie mówili o zmierzchu, tak poufnie nachyleni?

Wróciłem, trzymając z rozpaczą nieoczekiwane dziesięć tysięcy franków. Miałem dzięki tym pieniądzom zrobić tyle drobnych przyjemności owej Gilbertce, której teraz byłem zdecydowany nie ujrzeć już nigdy. Bez wątpienia postój u handlarza chińszczyzny ucieszył mnie, pozwalając mi się spodziewać, że zawsze będę oglądał swoją ukochaną zadowoloną i wdzięczną. Ale gdybym się nie był zatrzymał, gdyby fiakier nie jechał przez Pola Elizejskie, nie byłbym spotkał Gilberty z młodym człowiekiem. Tak więc jeden i ten sam fakt ma dwa przeciwległe konary, a nieszczęście, jakie się z niego rodzi, anuluje szczęście, które sprawił. Zdarzyło mi się coś przeciwnego temu, co się dzieje tak często. Zwykle pragniemy przyjemności, a brak nam materialnych środków do osiągnięcia jej. „Smutno jest – powiada La Bruyère – kochać bez wielkiego majątku”. Pozostaje jedynie starać się unicestwić pomału żądze tej radości. Ja, przeciwnie, uzyskałem środki materialne, ale równocześnie, jeżeli nie w logicznym skutku, to bodaj w przypadkowym rezultacie tego sukcesu, radość umknęła mi się.

Zdaje się zresztą, że zawsze musi się nam wymknąć: zwykle, co prawda, nie tego samego wieczoru, w którym zdobyliśmy to, co umożliwia przyjemność. Najczęściej szamocemy się dalej i łudzimy się jakiś czas. Ale szczęście nie może się nigdy ziścić. Jeżeli pokonamy okoliczności, natura przenosi walkę z zewnątrz na wewnątrz i odmienia pomału nasze serce na tyle, aby pragnęło czego innego niż to, co posiadzie. A jeżeli zwrot był tak szybki, że serce nie miało czasu się zmienić, natura nie rezygnuje z chęci zwyciężenia nas w sposób wolniejszy, to prawda, subtelniejszy, ale równie skuteczny. W ostatniej sekundzie odbiera nam wówczas posiadanie szczęścia lub raczej samemu temu posiadaniu z diabelską chytrą naturą każe niweczyć szczęście. Nie zdoławszy nic sprawić w sferze faktów i życia, natura stwarza ostatnią niemożliwość, psychologiczną niemożliwość szczęścia. Fenomen szczęścia nie spełnia się lub wiąże się z najbardziej gorzką reakcją.

Ścisnąłem w dłoni dziesięć tysięcy franków. Ale nie zdały mi się już na nic. Wydałem je zresztą jeszcze szybciej, niż gdybym był co dzień posyłał kwiaty Gilbertcie, bo kiedy nadchodził wieczór, byłem tak nieszczęśliwy, że nie mogłem wytrwać w domu i szedłem płakać w ramionach kobiet, których nie kochałem. Co się tyczy zrobienia jakiegokolwiek przyjemności Gilbertcie, nie pragnąłem już tego; iść teraz do jej domu mogło mi przynieść jedynie ból. Nawet widok Gilberty, jeszcze wczoraj dla mnie tak pełen uroku, nie wystarczyłby mi już. Bo byłbym niespokojny przez cały czas, w którym nie byłbym przy niej. Oto,

co sprawia, że kobieta, przez każdy nowy ból, jaki nam – często bezwiednie – zadaje, zwiększa swoją władzę nad nami, ale i nasze wymagania od niej. Przez ten ból, jaki nam sprawiła, kobieta osacza nas coraz bardziej, zdwaja nasze łańcuchy, ale również i te, którymi dotąd zdawało się nam wystarczające spętać ją dla naszego spokoju. Jeszcze wczoraj, gdyby nie obawa znudzenia Gilberty, byłbym poprzestał na żądaniu rzadkich spotkań, które teraz nie byłyby mi już wystarczyły i które bym zastąpił zgoła innymi warunkami. Bo w miłości – na wspak temu, co się dzieje po bitwie – im bardziej jesteśmy zwyciężeni, tym cięższe stawiamy warunki, wciąż je powiększamy – o ile je możemy narzucić. Nie miałem tej mocy w stosunku do Gilberty. Toteż wolałem od razu przestać odwiedzać jej matkę. Powtarzałem sobie wprawdzie nadal, że Gilberta mnie nie kocha, że wiem o tym dość dawno, że mógłbym ją zobaczyć, gdybym chciał lub – w odwrotnym wypadku – zapomnieć o niej z czasem. Ale te myśli, niby lekarstwo nieskuteczne na pewne choroby, było bez żadnej mocy przeciw tym dwom równoległym liniom, które jawiły mi się od czasu do czasu, Gilberty i młodego człowieka, gubiących się z wolna w alei Pól Elizejskich. Była to nowa choroba, też mająca się zużyć; obraz, który pewnego dnia miał się przedstawić mojej myśli zupełnie wyługowany z tego, co zawierał zabójczego, jak owe śmiertelne trucizny, którymi manipuluje się bez szkody, lub odrobina dynamitu, od której można zapalić papierosa bez obawy wybuchu.

Na razie była we mnie inna siła, walcząca całą swoją

mocą przeciw tej niezdrowej sile, ukazującej mi niezmiennie spacer Gilberty o zmroku; aby złamać ponawiające się ataki mojej pamięci, wyobraźnia moja pracowała skutecznie w przeciwnym kierunku. Niewątpliwie pierwsza z tych dwóch sił wciąż mi ukazywała parę z Pól Elizejskich i nasuwała mi inne przykre obrazy zaczerpnięte z przeszłości; na przykład Gilbertę wzruszającą ramionami, gdy matka kazała jej zostać ze mną. Ale druga siła, haftując na kanwie moich nadziei, rysowała mi przyszłość o wiele powabniejszą niż ta biedna przeszłość, w gruncie tak ograniczona. Na tę jedną minutę Gilberty nadąsanej, ileż minut, w których roiłem wszystko, co ona uczyni dla naszego pojednania, może dla naszych zaręczyn! Prawda, że ową siłę, którą wyobraźnia kierowała w przyszłość, czerpała ona mimo wszystko w przeszłości. W miarę jak by się zacierał przykry obraz Gilberty wzruszającej ramionami, zmniejszyłoby się i wspomnienie jej uroku, wspomnienie, które mi kazało pragnąć, aby do mnie wróciła. Ale byłem jeszcze bardzo daleko od tej śmierci przeszłości. Wciąż kochałem Gilbertę, myśląc co prawda, że jej nienawidzę. Ale za każdym razem kiedy chwalono moje uczesanie, mój wygląd, byłbym pragnął, aby ona była przy tym. Drażniły mnie zaproszenia, jakimi w owej epoce darzyło mnie nadaremnie wiele osób. Doszło raz w domu do sceny, bo nie chciałem towarzyszyć ojcu na oficjalny obiad, gdzie mieli być państwo Bontemps z siostrzenicą Albertyną, młodzietką panią, prawie dzieckiem. Różne okresy naszego życia zazębiają się tak o siebie. Dla osoby, którą kochamy, a

która będzie nam kiedyś tak obojętna, odsuwamy wzgardliwie tę, którą pokochamy jutro, którą moglibyśmy może, gdybyśmy się zgodzili ujrzeć ją, pokochać wcześniej, i która byłaby w ten sposób skróciła nasze obecne cierpienia, co prawda po to, aby je zastąpić innymi.

Moje cierpienia przeobrażały się stopniowo. Dziwiłem się, spostrzegając w sobie tego dnia jedno uczucie, owego inne, przeważnie natchnione jakąś nadzieją lub obawą tycząca Gilberty. Gilberty, którą nosiłem w sobie. Byłbym sobie powinien powiedzieć, że inna, prawdziwa, jest może zupełnie różna od tej, obca żalom, jakim jej przypisywałem, że myśli zapewne o mnie nie tylko o wiele mniej niż ja o niej, ale mniej, niż ja jej każę myśleć o mnie, gdy jestem sam na sam ze swoją fikcyjną Gilbertą, dociekając, jakie mogą być jej prawdziwe intencje i wyobrażając sobie tym samym, że jej uwaga wciąż się kieruje na mnie.

W czasie tych okresów, gdy, mimo iż słabnąc, zgryzota trwa, trzeba rozróżnić między tą, którą sprawia nam ciągła myśl o samej osobie, a tą, którą podsycają pewne wspomnienia, jakieś złośliwe wyrażenie, jakieś słowo użyte w otrzymanym liście. Zachowując sobie na okazję późniejszej miłości opis rozmaitych form zgryzoty, powiedzmy, że z tych dwóch pierwsza jest nieskończenie mniej okrutna od drugiej. Wynika to stąd, że skoro obraz tej osoby wciąż w nas żyje, upiękuszony jest w nas aureolą, w którą nie omieszkamy jej ustroić, i barwi się, o ile nie częstymi słodyczami nadziei, to bodaj spokojem

trwałego smutku. (Trzeba zresztą zauważyć, że obraz osoby będącej źródłem naszego cierpienia mało zajmuje miejsca w powikłaniach, które powiększają cierpienie miłosne, przedłużają je i utrudniają uleczenie, jak w pewnych chorobach przyczyna jest w niestosunku do wywołanej gorączki i powolności zdrowienia). Ale jeżeli myśl o kochanej osobie barwi się odblaskiem idei przeważnie optymistycznej, inna rzecz owe konkretne wspomnienia, owe złe słówka, ów wrogi list (dostałem od Gilberty tylko jeden taki); można by rzec, iż sama osoba mieszka w tych fragmentach, mimo iż tak ograniczonych i osiąga moc, od której daleka jest w zwykłym pojęciu, jakie sobie tworzymy o niej całej. A to dlatego, że listu nie oglądaliśmy – jak oglądamy obraz kochanej osoby – w melancholijnym i spokojnym żalu; czytaliśmy go, pochłaniali, w okropnym bólu, jakim dławiło nas nagłe nieszczęście. Tworzenie się takich zgryzot jest inne; płyną z zewnątrz i dochodzą do naszego serca drogą najokrutniejszego cierpienia. Obraz ukochanej, który uważamy za dawny, autentyczny, w rzeczywistości przerabialiśmy wiele razy. Ale okrutne wspomnienie nie jest współczesne z tym wyrestaurowanym obrazem; jest z innego czasu, jest jednym z nielicznych świadków potwornej przeszłości. Że jednak ta przeszłość istnieje nadal, wyjąwszy w nas, którzy podobaliśmy sobie zastąpić ją cudownym wiekiem złotym, rajem, gdzie wszyscy będą pojednani, owe wspomnienia, owe listy, są przywołaniem do rzeczywistości i przez gwałtowny ból, jaki nam sprawiają, powinny by nam uprzytomnić, jak

daleko odeszliśmy od tej rzeczywistości w szalonych nadziejach naszego codziennego oczekiwania.

Nie znaczy to, aby ta rzeczywistość miała wciąż zostać jednaka, mimo iż zdarza się to czasem. Jest w naszym życiu wiele kobiet, których nigdy nie staraliśmy się ujrzeć i które, zupełnie naturalnie, na nasze bynajmniej niezamierzone milczenie odpowiedziały podobnym milczeniem. Tylko ponieważ nie kochaliśmy tych kobiet, nie liczyliśmy lat spędzonych z dala od nich; jakoż pomijamy ten negatywny przykład, kiedy rozumiemy o skuteczności odosobnienia, tak jak ci, co wierzą w przeczucia, pomijają wszystkie wypadki, w których się im one nie sprawdziły.

Ale wreszcie oddalenie może być skuteczne. Pragnienie, ochota ujżenia nas odradza się w końcu w sercu, które obecnie nami gardzi. Tylko trzeba na to czasu. Otóż w tym, co się tyczy czasu, wymagania nasze są nie mniej wygórowane niż te, których potrzebuje serce, aby się zmienić. Po pierwsze, czas to jest rzecz, której użyczymy niechętnie, bo nasze cierpienie jest okrutne i pilno nam, aby się skończyło. Następnie, ten czas, którego inne serce będzie potrzebowało, aby się zmienić, nasze zużyje na to, aby się zmienić również, tak iż kiedy cel, któryśmy sobie zakładali, stanie się dostępny, przestanie dla nas być celem. Zresztą, sama myśl o tym, że będzie dostępny, że nie ma szczęścia, które, kiedy przestanie być już dla nas szczęściem, nie byłoby do osiągnięcia, ta myśl zawiera część, ale tylko część prawdy. Przychodzi nam to szczęście, kiedyśmy

się stali na nie obojętni. Ale właśnie ta obojętność uczyniła nas mniej wymagającymi i pozwala nam uwierzyć wstecz, że owo szczęście byłoby nas upoiło w epoce, w której może wydałoby się nam bardzo niepełne. Nie jest się zbyt trudnym ani zbyt dobrym sędzią co do rzeczy, o którą się nie dba. Życzliwość osoby już niekochanej może się wydać jeszcze nadmierna naszej obojętności, ale miłości naszej nie wystarczyłaby może wcale. Myślimy o radości, jaką byłyby nam sprawiły jakieś tkliwe słowa, jakaś schadzka, nie zaś o wszystkim tym, czego pragnęlibyśmy zaraz później i co może byśmy udaremнили właśnie przez tę zachłanność. I nie jest wcale pewne, czy owo szczęście zjawiające się zbyt późno, kiedy go już nie możemy kosztować, kiedy już nie kochamy, jest całkiem tym samym szczęściem, którego brak niegdyś nas tak unieszczęśliwił. Jedna tylko osoba mogłaby to rozstrzygnąć, nasze ówczesne **ja**; i nie ma go już; i z pewnością wystarczyłoby jego powrotu, aby szczęście – tożsame czy nie – pierzchnęło.

W oczekiwaniu owych niewczesnych ziszczeń marzenia, na którym nie będzie mi już zależało, tak długo roilem – jak w czasach, gdym zaledwie znał Gilbertę – słowa, listy, gdzie mnie błaga o przebaczenie, wyznaje, iż zawsze kochała tylko mnie i chce zostać moją żoną, iż seria słodkich i wciąż odtwarzanych obrazów zajęła wreszcie w moich myślach więcej miejsca niż wizja Gilberty i młodego człowieka, której nie podsycalo już nic. Z tą chwilą byłbym znów może odwiedził panią Swann, gdyby nie sen, w którym jakiś przyjaciel – ale nie

z liczby osób, które znałem – postępował za mną nadzwyczaj fałszywie, przeświadczony wzajem o moim fałszu. Zbudzony nagle cierpieniem, jakie mi sprawił ten sen, i widząc, że trwa, myślałem dalej o nim; starałem się przypomnieć sobie, co to był za przyjaciel, którego widział we śnie i którego hiszpańskie imię już się we mnie zamgliło. Kojarząc rolę Józefa i faraona, zacząłem tłumaczyć sobie swój sen. Wiedziałem, że w wielu snach nie trzeba brać w rachubę wyglądu osób, które mogą być przebrane i mogły pozamieniać twarze, jak w katedrach owi uszkodzeni święci, których ciemni archeologowie odrestaurowali, kładąc na ciało jednego głowę drugiego oraz mieszając ich właściwości i imiona. Imiona osób we śnie mogą nas zmylić. Osobę, którą kochamy, trzeba poznawać jedynie po sile doznanego bólu. Mój ból pouczył mnie, że (mimo iż zmieniona we śnie w młodego człowieka) osobą, której świeży fałsz sprawiał mi jeszcze ból, była Gilberta. Przypomniałem sobie, że ostatnim razem, kiedy ją widział, wówczas gdy pani Swann nie dała jej iść na tańce, Gilberta – szczerze czy udając, przy czym śmiała się dziwnie – nie chciała uwierzyć w moje dobre uczucia dla niej. Przez asocjację wspomnienie to zbudziło w mojej pamięci inne. Na długo przedtem Swann nie chciał wierzyć ani w moją szczerłość, ani w to, że bym był odpowiednim przyjacielem dla Gilberty. Daremnie pisał do niego, Gilberta odniosła mi mój list i oddała mi go z tym samym zagadkowym śmiechem. Nie oddała mi go zaraz; przypominałem sobie całą scenę za klombem laurów. Człowiek staje się moralny z chwilą,

gdy jest nieszczęśliwy. Obecna niechęć Gilberty wydała mi się niby karą wymierzoną przez życie za moje zachowanie się owego dnia. Człowiek myśli, że unika kary, dlatego że przechodząc przez ulicę uważa na powozy, że unika niebezpieczeństw. Ale istnieją wewnętrzne niebezpieczeństwa. Wypadek przychodzi ze strony, o której się nie myślało, z wewnątrz, z serca. Słowa Gilberty: „Jeżeli chcesz, możemy się jeszcze mocować”, przejęły mnie zgrozą. Wyobraziłem ją sobie taką, u niej w domu może, w garderobie, z młodym człowiekiem, którego widział z nią w alei Pól Elizejskich. Zatem tak samo jak (przed jakimś czasem) byłem szalony, wierząc, że osiadł spokojnie w szczęściu, tak teraz, kiedy wyrzekłem się nadziei szczęścia, byłem szalony, uważając za pewnik, że stałem się bodaj spokojny, że mógłbym pozostać spokojny. Bo dopóki serce trwale zawiera obraz innej istoty, nie tylko nasze szczęście może być w każdej chwili zburzone; kiedy to szczęście prysło, kiedyśmy cierpieli, a potem zdołali uśpić swoje cierpienie, spokój nasz jest czymś równie złudnym i niepewnym, jak było nasze szczęście.

Mój spokój wrócił w końcu, co bowiem weszło w naszą duszę w drodze snu, odmieniając nasz stan duchowy i nasze pragnienia, rozprasza się także stopniowo, ile że trwałość i ciągłość nie są dane niczemu, nawet boleści. Zresztą ci, co cierpią z miłości, są – jak się mówi o niektórych chorych – swoim własnym lekarzem. Ponieważ pociecha może im przyjść jedynie od istoty sprawiającej im ból, a ten ból jest emanacją owej istoty, w nim w końcu znajdują lekarstwo. On sam wskazuje im je w danej chwili,

w miarę bowiem jak go obracają w sobie, ból ten ukazuje im inną postać straconej osoby, to tak nienawistnej, że nie mamy już nawet ochoty ujrzeć jej, bo zanim byśmy znaleźli przyjemność w jej towarzystwie, trzeba by ją dręczyć; to tak słodkiej, że słodcz, jakiej jej użyczamy, poczytujemy jej za zasługę i czerpiemy w niej nadzieję.

Ale mimo iż odnowione cierpienie uśmierzyło się w końcu, jeżeli zachodził jeszcze do pani Swann, to chyba bardzo rzadko. Bo w tych, którzy kochają i których porzucono, uczucie oczekiwania – nawet bezwiedne – jakim żyją, przeobraża się samo przez się i, mimo iż na pozór tożsame, sprowadza po pierwszym stanie stan drugi, wręcz przeciwny. Pierwszy był następstwem i refleksem bolesnych wydarzeń, jakie nami wstrząsnęły. Oczekiwanie tego, co mogłoby się wydarzyć, miesza się z lękiem, tym bardziej że w tej chwili, o ile nic nowego nie zajdzie ze strony osoby kochanej, pragniemy działać sami, a nie bardzo wiemy, jaki będzie skutek kroku, po którym niepodobna nam już może będzie podjąć nowego. Ale niebawem – choć sobie z tego nie zdajemy sprawy – nasze trwałe oczekiwanie określa się – jak widzieliśmy – już nie wspomnieniem doznanej przeszłości, ale nadzieją urojonej przyszłości. Z tą chwilą jest ono niemal miłe. Przy tym ów stan przez swoje trwanie przyzwyczaił nas żyć w oczekiwaniu. Cierpienie, jakiegośmy doświadczyli w czasie ostatnich widywań się, żyje w nas jeszcze, ale już uśpione. Nie kwapimy się zbyt odnowić go, tym bardziej że nie bardzo widzimy, czego

byśmy teraz żądali. Posiadanie czegoś więcej z kobiety, którą kochamy uczyniłoby nam jedynie tym potrzebniejszym to, czego nie posiadamy i czego nie mogliśmy się wyrzec, bo wszelkie zaspokojenie rodzi nową potrzebę.

Wreszcie ostatnia racja przyłączyła się z czasem do tej poprzedniej, aby mnie doprowadzić do całkowitego poniechania wizyt u pani Swann. Racją tą – późniejszą – był nie fakt zapomnienia o Gilbertcie, ale chęć prędszego zapomnienia o niej. Bez wątpienia od czasu, jak się skończyło moje wielkie cierpienie, wizyty u pani Swann znów stały się dla resztek mego smutku ukojeniem i dystrakcją, cenną z początku. Ale oba te procesy – ukojenie i dystrakcja – były w sprzeczności z sobą, ile że z tymi wizytami ściśle łączyło się wspomnienie Gilberty. Dystrakcja byłaby mi użyteczna tylko wtedy, gdyby w walkę z uczuciem, niepodsycanym już obecnością Gilberty, wprowadziła myśli, interesy, namiętności, w których Gilberta nie grałaby żadnej roli. Te stany świadomości, którym kochana osoba pozostaje obca, zajmują wówczas miejsce, choćby małe zrazu, ale zdobyte na miłości wypełniającej wprzód całą duszę. Trzeba starać się podsycać, hodować te myśli, podczas gdy wiedznie uczucie, będące już tylko wspomnieniem, tak aby wprowadzone w myśl nowe elementy odbierały mu, wydzierały coraz to większą część duszy, aż w końcu wydrą mu ją całą. Zdawałem sobie sprawę, że to jest jedyny sposób zabicia miłości, a byłem jeszcze dość młody, dość dzielny na to, aby podjąć ten zamiar, aby znieść najokrutniejszy z bólów, rodzący się z

pewności, że ile bądź czasu trzeba będzie na to obrócić – uda się.

Powód, jakim motywowałem teraz w listach do Gilberty odmowę widywania jej, był aluzją do jakiegoś tajemniczego, najzupełniej fikcyjnego nieporozumienia, które jakoby zaszło między nami i co do którego spodziewałem się zrazu, iż Gilberta zechce je wyjaśnić. Ale faktem jest, iż nigdy, nawet w najbliższych stosunkach, nie żąda wyjaśnień ktoś, kto wie, że jakiś ciemny, kłamliwy, oskarżający zwrot wsunięto umyślnie po to, aby wywołać protesty; przeciwnie, szczęśliwy, iż zyskał przez to przewagę i inicjatywę taktyczną, strzeże tej przewagi. Tym bardziej dzieje się tak w stosunkach tkliwszych, gdzie miłość jest tak wymowna, a obojętność tak mało ciekawa! Skoro Gilberta nie podała w wątpliwość tego nieporozumienia, ani starała się go poznać, stało się ono dla mnie czymś realnym, na co powoływałem się w każdym liście. Są w tych fałszywych sytuacjach, w tym udanym chłodzie jakieś czary, które utrzymują nas w nich. Tak długo pisałem: „Od czasu, jak nasze serca przestały się rozumieć”, po to aby Gilberta odpisała: „Ależ nie przestały, porozumiejmy się”, żem uwierzył, iż przestały się rozumieć w istocie. Powtarzając ciągle: „Życie nasze mogło się zmienić, ale nie zatrze uczuć, jakie nas łączyły”, z żądzą usłyszenia wreszcie: „Ależ nic się nie zmieniło, węzeł jest mocniejszy niż kiedykolwiek”, żyłem w myśli, iż życie zmieniło się w istocie, iż zachowamy pamięć uczucia nieistniejącego już, jak pewni neurastenicy z udanej choroby zostają wreszcie na całe życie chorzy. Teraz za każdym razem, kiedym miał pisać do

Gilberty, powoływałem się na ową urojoną zmianę, której fakt, biernie uznany milczeniem Gilberty w jej odpowiedziach, trwał jakoby między nami.

Następnie Gilberta przestała się ograniczać do przemilczania. I ona przejęła mój punkt widzenia; i jak w oficjalnych toastach, gdzie naczelnik państwa będący gościem odpowiada mniej więcej w tych samych słowach, jakich użył naczelnik państwa, które go gości, za każdym razem, kiedy pisałem do Gilberty: „Życie mogło nas rozdzielić, ale pamięć czasu, gdyśmy się znali, przetrwa”, ona odpowiadała niezmiennie: „Życie mogło nas rozdzielić, ale nie zdoła zatrzeć w pamięci dobrych chwil, które będą nam zawsze drogie”. I bylibyśmy w wielkim kłopotcie, gdyby nam przyszło powiedzieć, czemu „życie” nas rozdzieliło, co za zmiana zaszła?

Nie cierpiałem już zbyt. Jednakże pewnego dnia, przesyłając Gilbertce wiadomość o śmierci naszej starej straganiarki na Polach Elizejskich, napisawszy te słowa: „Pomyślałem, że ci ta śmierć sprawiła przykrość; we mnie poruszyła ona wiele wspomnień”, nie mogłem się wstrzymać od płaczu, spostrzegając, iż o tej miłości, o której mimo woli nie przestałem nigdy myśleć jak o czymś żywym, bodaj o czymś mogącym zmartwychwstać, mówię w czasie przeszłym i tak jakby chodziło o zapomnianego już prawie nieboszczyka. Nie można sobie wyobrazić nic tkliwszego niż ta korespondencja między przyjaciółmi, którzy nie chcieli się już widywać. Listy Gilberty miały całą delikatność owych listów, jakim pisywałem

do osób obojętnych i darzyły mnie tymi samymi pozornymi oznakami przywiązania, tak słodkimi dla mnie, gdy pochodziły od niej.

Stopniowo zresztą każda odmowa widzenia się z Gilbertą sprawiała mi mniej przykrości. I, w miarę jak mi się ona stawała mniej drogą, moje bolesne wspomnienia nie miały już dosyć siły, aby zniszczyć ciągłe nawroty przyjemności, z jaką myślałem o Florencji, o Wenecji. Żałowałem w owych chwilach, że się wyrzekłem dyplomacji i że się przykułem do miejsca po to, aby się nie oddalać od dziewczyny, której już nie ujrzę i o której już prawie zapomniałem. Budujemy swoje życie dla jakiejś osoby i kiedy w końcu możemy ją w nim przyjąć, ta osoba nie przychodzi, potem umiera dla nas, i żyjemy uwięzieni w tym, co było przeznaczone tylko dla niej.

O ile Wenecja zdawała się rodzicom bardzo dla mnie daleka i niezdrowa, łatwo w zamian było wybrać się bez znużenia do Balbec. Ale na to trzeba by opuścić Paryż, wyrzec się wizyt, dzięki którym – mimo iż były tak rzadkie – słyszałem niekiedy od pani Swann o Gilbertce. Zaczynałem zresztą znajdować w tych wizytach pewne przyjemności, w których Gilberta nie grała żadnej roli.

Kiedy nadeszła wiosna, sprowadzając zimno, w czasie „świętych lodowych”¹ i przymrozków Wielkiego Tygodnia, pani

¹ *święci lodowi* (fr. *Saints de glace*) – w Polsce tzw. zimni ogrodnicy, tj. dni, którym patronują święci: Pankracy (12 maja), Serwacy (13 maja) i Bonifacy (14 maja) oraz Zofia (15 maja), kiedy występuje duże prawdopodobieństwo wiosennych przymrozków (największe między 10 a 17 maja). [przypis edytorski]

Swann uważała, że się u niej w domu marznie, toteż zdarzało mi się często zastać ją przyjmującą w futrze. Jej wrażliwe na zimno ręce i ramiona znikwały pod białym i lśniącem dywanem olbrzymiej płaskiej gronostajowej mufki i kołnierza, których nie zdjęła wracając i które wyglądały jak ostatnie płaty zimowego śniegu, trwalsze od innych i niedające się stopić ciepłu ognia ani posuwającej się wiośnie. I salon ten, z którym miałem rozstać się niebawem, sugerował mi całą prawdę owych tygodni lodowatych, ale już kwitnących bardziej upajającymi białościami, na przykład białą buldenezów², skupiających na szczycie wysokich łodyg, nagich niby linearne krzewy prerafaelitów, swoje pierzaste, lecz zwarte kule, białe jak anioły zwiastowania i spowite cytrynowym zapachem. Bo pani z Tansonville wiedziała, że kwiecień, nawet mroźny, nie jest wyzuty z kwiatów, że zima, wiosna, lato, nie są oddzielone od siebie hermetycznymi przegrodami, jak w to skłonny jest wierzyć bulwarowiec, który do pierwszych gorących dni wyobraża sobie świat jako coś zawierającego same nagie domy na deszczu. Nie twierdzę, aby pani Swann zadowolala się tym, czego jej dostarczał ogrodnik z Combray, i aby przez swoją „nadworną” kwiaciarkę nie wypełniała luk niepełnego obrazu sukursem śródziemnomorskiego klimatu. Było mi to zresztą obojętne. Dla obudzenia we mnie nostalgii wsi wystarczało, aby obok śniegów mufki, którą trzymała pani Swann, buldeneże (niemające może w intencjach pani domu

² *buldenez* – śnieguliczka; rodzaj krzewu o białych a. różowych drobnych kwiatach zgrupowanych w kiście oraz białych, drobnych owocach. [przypis edytorski]

innego celu, jak stworzyć, za radą Bergotte'a „symfonię *en blanc majeur*” z jej umeblowaniem i toaletą) przypomniały mi, że Ofiara Wielkiego Piątku wyobraża naturalny cud, którego można by być świadkiem corocznie, gdyby się było rozsądniejszym, i aby te buldeneże, wspomagane ostrym i odurzającym zapachem innych kwiatów (których nazw nie znałem, a które tyle razy zatrzymały mnie w czasie moich przechadzek w Combray), czyniły salon pani Swann równie dziewiczym, równie niewinnie kwitnącym bez żadnego liścia, równie przepojonym autentycznymi zapachami, co ścieżka w Tansonville.

Ale ta reminiscencja to było jeszcze za wiele. Wspomnienie owej ścieżki groziło tym, że podtrzyma resztkę mojej miłości dla Gilberty. Toteż, mimo że już wcale nie cierpiałem w czasie wizyt u pani Swann, jeszcze zredukowałem je, starając się bywać u niej możliwie najrzadziej. Co najwyżej, ponieważ wciąż nie opuszczałem Paryża, pozwalałem sobie na małe spacery z panią Swann. Piękne dni wróciły wreszcie, gorąco również. Ponieważ wiedziałem, że przed śniadaniem pani Swann wychodzi na godzinę na mały spacer po *avenue du Bois*, w pobliżu *Etoile* oraz miejsca nazywanego wówczas, od ludzi zachodzących tam, aby oglądać bogaczy znanych im tylko z nazwiska, „**Klubem golców**”, wyprosiłem u rodziców, że w niedzielę – bo w powszedni dzień nie byłem o tej godzinie wolny – będę mógł jadać śniadanie aż znacznie po nich, o kwadrans na drugą, przedtem zaś trochę się przejdę. Nie zaniedbałem

tęgo ani razu w ciągu maja, który Gilberta spędziła na wsi u przyjaciółki. Przybywałem pod Łuk Tryumfalny koło dwunastej. Czatowałem u początku alei, nie tracąc z oczu rogu uliczki, którą szła od siebie pani Swann, mając do przebycia ledwie kilkadziesiąt kroków. Ponieważ była to godzina, w której wielu spacerowiczów wracało już na śniadanie, ci, co pozostali, byli mało liczni, przeważnie ludzie ze „świata”. Naraz na piasku alei, spóźniona, powolna i bujna niby najpiękniejszy kwiat otwierający się aż o południu, zjawiała się pani Swann, roztaczając dokoła siebie tualetę zawsze inną, ale zwłaszcza, o ile pamiętam, koloru lila; następnie podnosiła i rozwijała na długiej szypułce jedwabną flagę szerokiej parasolki w tym samym odcieniu co ulistnienie płatków sukni. Otaczała ją cała świta; Swann i kilku klubowców, którzy zaszli do niej rano albo których spotkała; i ich czarna lub szara grupa, spełniająca prawie mechaniczne poruszenia martwej ramy dokoła Odety, dawała tej kobiecie o szczególnie wyrazistym spojrzeniu pozór, że spośród wszystkich tych mężczyzn ona patrzy przed siebie jak z okna, do którego podeszła, wykwitając wątła, ale nieustraszona w nagości swoich delikatnych kolorów, niby zjawa istoty odmiennego rodzaju, nieznanej rasy, o potędze niemal wojowniczej, dzięki czemu sama jedna równoważyła swoją liczną eskortę. Uśmiechnięta, szczęśliwa z pięknej pogody, ze słońca niedokuczającego jeszcze zbytnio, Odeta, ze spokojem i pewnością twórcy, który stworzył swoje dzieło i nie dba o resztę, pewna, że jej toaleta – choćby nawet zwykły przechodzień nie ocenił jej – jest najwytworniejsza

ze wszystkich, nosiła ją dla samej siebie i dla swoich przyjaciół, swobodnie, bez przesadnej uwagi, ale i bez zbytej obojętności; nie broniąc kokardkom u sukni i u spódnicy bujać lekko przed nią, niby istotom, których obecności jest świadoma i którym pobłażliwie pozwala igrać, wedle ich własnego rytmu, byle szły za nią. Nawet na swoją umbrelkę lila, którą często przybywając trzymała jeszcze zamkniętą, pani Swann opuszczała chwilami – zarówno jak na bukiet parmeńskich fiołków – spojrzenie szczęśliwe i tak słodkie, że kiedy nie padało już na przyjaciół, ale na martwy przedmiot, jeszcze zdawało się uśmiechać. Określała w ten sposób, zajmowała swoją toaletą ową strefę elegancji, której przestrzeń i konieczność szanowali mężczyźni, nawet najbardziej ośmieleni przyjaźnią pani Swann, nie bez pewnego szacunku profanów i wyznania własnej ignorancji. Była to strefa, w której przyznawali swojej przyjaciółce kompetencję i autorytet, niby choremu w zakresie specjalnych starań, jakich potrzebuje, lub matce w zakresie wychowania dzieci.

Zarówno przez ten dwór, który otaczał ją, zdając się nie widzieć przechodniów, jak przez późną godzinę swego zjawienia się, pani Swann budziła wizję owego apartamentu, gdzie spędziła tak długi poranek i dokąd miała niebawem wrócić na śniadanie; zdradzała niejako jego bliskość niedbałym spokojem swojej przechadzki, takiej prawie, jaką się odbywa, spacerując po własnym ogrodzie; można by rzec, że jeszcze miała dokoła siebie chłodny i zaciszny cień tego mieszkania. Ale przez to właśnie widok Odety tym bardziej dawał mi wrażenie powietrza

i ciepła. Zwłaszcza że na skutek mego przeświadczenia, iż mocą obrzędów i liturgii, w jakich pani Swann była tak biegła, toaleta jej łączy się z porą roku i dnia węzłem koniecznym, jedynym – kwiaty jej twardego słomkowego kapelusza, kokardki u sukni zdawały mi się poczęte z miesiąca maja naturalniej jeszcze niż kwiaty ogrodowe i leśne; i aby zaznać młodego wzruszenia wiosny, podnosiłem oczy nie wyżej niż umbrella pani Swann, otwarta i napięta niby drugie bliższe niebo, okrągłe, łaskawe, ruchome i błękitne. Te obrządki bowiem, mimo iż wszechmocne, kładły swoją chlubę – a tym samym kładła ją w tym pani Swann – w dobrotliwym posłuszeństwie rankowi, wiośnie, słońcu, które nie wydawały mi się dość wzruszone tym, że tak elegancka kobieta raczy ich nie ignorować i że z ich powodu wybrała suknię jaśniejszą i lżejszą, wycięciem szyi i rękawów budzącą myśl o wilgoci karku i dłoni; że rozwinęła dla nich całą uprzejmość wielkiej damy, która, zniżywszy się wesoło do tego, aby odwiedzić na wsi prostych ludzi, znajomych wszystkim, nawet pospólstwu, mimo to zechciała włożyć specjalnie na ten dzień wiejską toaletę.

Skoro się pani Swann zjawiała, kłaniałem się jej, zatrzymywała mnie i mówiła z uśmiechem: „*Good morning*”. Szliśmy kawałek razem. I pojmowałem, że jeżeli była posłuszna owym kanonom, wedle których się ubierała, to dla siebie samej; posłuszna niby wyższej mądrości, której byłaby arcykapłanką: o ile się jej bowiem zdarzyło, że z powodu gorąca rozpięta lub nawet całkiem zdjęta i dała mi do niesienia zakiet, który miał pozostać

zapięty, odkrywałem w jej szmizetce tysiące szczegółów mających wszelkie szanse zostać niepostrzeżone, jak owe partie orkiestry, które kompozytor wypieścił z całym staraniem, mimo że nigdy nie mają dojść uszu publiczności; lub też w rękawach zakietu złożonego na moim ramieniu oglądałem długo, dla przyjemności lub przez uprzejmość, jakiś atłasik lila zazwyczaj skryty oczom wszystkich, ale równie delikatnie opracowany jak wierzch, niby owe rzeźby w katedrze gotyckiej ukryte na wewnętrznej stronie balustrady na wysokości osiemdziesięciu stóp, równie doskonałe jak płaskorzeźby głównego portalu, ale których nikt nie widział, zanim jakiemuś wędrowcowi-artystcie nie wpadło do głowy przechadzać się tam pod samym niebem, górując nad całym miastem między dwiema wieżami.

Dla ludzi nieznających nawyków „*footingu*” wrażenie, że się pani Swann przechadza po *avenue du Bois* niby po ścieżce własnego ogrodu, pomnażała okoliczność, że Odeta przyszła pieszo, bez jadącego za nią powozu; ona, którą od maja przywykło się widzieć w najstaranniej zaprzężonym ekwipażu, z najlepiej utrzymaną liberią w całym Paryżu, gdy miękko i majestatycznie zasiadała, jak bogini, w ciepłym plenerze olbrzymiej ośmioresorowej wiktorii. Pieszko robiła pani Swann wrażenie – zwłaszcza gdy tak szła leniwo wskutek gorąca – osoby, która uległa ciekawości, chętnie popełnienia jakiegoś eleganckiego wyłomu w etykiecie, jak owi panujący, co, nie poradziwszy się nikogo, wśród zgorszonego nieco podziwu świty nieważącej się krytykować, opuszczają łożę w czasie

galowego przedstawienia i zachodzą do foyer, mieszając się na chwilę z publicznością. Tak więc tłum czuł dzielące go od pani Swann owe bariery bogactwa, robiące wrażenie najbardziej nieprzebytych. Arystokracja ma też swoje, ale mniej przemawiające do oczu i wyobraźni „golców”. W obliczu wielkiej damy, prostszej, łatwiejszej do pomieszczenia z mieszczałą, mniej oddalonej od ludu, „golcy” nie doznają owego uczucia własnej niższości, prawie upodlenia, jakie mają wobec jakiejś pani Swann. Bez wątpienia, tego rodzaju kobiety nie mają, jak ów tłum, poczucia świetności, która je otacza, nie zwracają już na nią uwagi; ale to dlatego, że się do niej przyzwyczaiły, czyli że im się ta świetność wydaje w końcu naturalna, konieczna, że sądzą innych ludzi wedle ich stopnia wtajemniczenia w te misteria zbytku. Dostojeństwo, jakie promieniują same, jakie odkrywają w innych, jest czysto materialne, łatwe do stwierdzenia, długie do nabycia, trudne do zastąpienia. Jeśli te kobiety postawią przechodnia w rzędzie najniższym, to w taki sam sposób, w jaki one same objawiły mu się na szczeblu najwyższym, to znaczy natychmiast, od pierwszego spojrzenia, bez apelacji. Ta specjalna klasa społeczna, posiadająca wówczas kobiety jak lady Israels, wmieszaną w sfery arystokracji, i panią Swann, mającą się kiedyś do nich zbliżyć, była czymś pośrednim, niższym od Faubourg Saint-Germain, skoro mu schlebiała, ale wyższym od tego, co jest poza Faubourg Saint-Germain. Już oderwana od świata bogaczy, była jeszcze bogactwem, ale bogactwem, które się stało podatne, posłuszne artystycznemu

celowi i myśli; pieniądz klepliwy, poetycznie cyzelowany i umiejący się uśmiechnąć. Może ta klasa, przynajmniej o tym samym typie i uroku, już nie istnieje. Zresztą należące do niej kobiety nie miałyby dziś tego, co było pierwszym warunkiem ich panowania, skoro z wiekiem prawie wszystkie postradały swą piękność. Otóż pani Swann, majestatyczna, uśmiechnięta i dobra, sunąc przez avenue du Bois, widziała, jak Hypatia, pod uroczystym krokiem swoich stóp, toczące się światy; a widziała je tyleż ze szczytu swego dostojnego bogactwa, co z chlubnej wyżyny swego żrałego³ i jeszcze tak smacznego lata. Mijający ją młodzi ludzie patrzyli na nią trwożliwie, niepewni, czy ich luźna znajomość z panią Swann daje im prawo ukłonu, tym bardziej, że będąc ledwie gdzieś raz przedstawieni Swannowi, bali się, że ich nie pozna. I drżąc o skutki, decydowali się na to, pytając sami siebie, czy ich zuchwale wyzywający i świętokradzki gest, czyniąc zamach na nietykalną supremację kasty, nie rozpęta katastrof lub nie ściągnie na nich kary jakiego boga. Ale ich ukłon pobudzał jedynie, niby ruch zegara, mechanizm ukłonów podrzędnych osobistości, tworzących święte Odety, poczynając od Swanna, który podnosił swój cylinder z zieloną skórzaną podszewką, z miłym uśmiechem nabytym w Faubourg Saint-Germain, ale z którym nie kojarzyła się już dawniejsza jego obojętność. Zastępowała ją (tak jakby poniekąd przesiałkł uprzedzeniami Odety) i irytacja, że się musi odklaniać komuś nieszczególnie ubranemu, i zadowolenie,

³ żrały (daw.) – dojrzały. [przypis edytorski]

że jego żona ma tylu znajomych; uczucie mieszane, któremu Swann dawał wyraz, mówiąc do towarzyszących mu elegantów: „Jeszcze jeden! Daję słowo, nie wiem, gdzie Odeta łowi ich wszystkich!”. Tymczasem, odpowiedziawszy skinieniem głowy wystraszonemu przechodniowi, który już znikł, ale któremu serce biło jeszcze, pani Swann zwracała się do mnie:

– Zatem – mówiła – to skończone? Nie zajdzie pan już nigdy do Gilberty? Jestem rada, że choć ja stanowię wyjątek i że mnie pan nie „spławił” całkowicie. Lubię pana widzieć, ale lubiłam też wpływ, jaki pan miał na moją córkę. Sądzę, że i ona tego bardzo żałuje. Ostatecznie, nie będę pana tyranizowała, bo gotów by pan i mnie nie chcieć widzieć na oczy!

– Odeto, Sagan ci się kłania – zwracał jej uwagę Swann.

I w istocie, książę de Sagan, zwróciwszy frontem konia, we wspaniałej apoteozie, godnej teatru, cyrku lub starego obrazu, składał Odecie szeroki, teatralny i jakby alegoryczny ukłon, w którym piętrzyła się cała rycerska dworność wielkiego pana składającego hołd Kobiecie, choćby wcielonej w kobietę, jakiej jego siostra lub matka nie mogłyby przyjmować. Co chwila zresztą, poznawana w płynnej przezroczyści i świetlnym werniksie cienia, jaki lała na nią umbrelka, pani Swann przyjmowała ukłony zapóźnionych jeźdźców, jakby skinematografowanych w galopie w białym rozświetleniu alei, klubowców, których imiona, sławne dla publiczności – Antoine de Castellane, Adalbert de Montmorency i tylu innych – były dla pani Swann poufałymi imionami przyjaciół. I

ponieważ przeciętne trwanie życia – względna długowieczność – o wiele dłuższe jest dla wspomnienia poetyckich wrażeń niż dla wspomnienia ran serca, dawno minione męki, jakim cierpiał wówczas dla Gilberty, przeżyła przyjemność, jaką odczuwam za każdym razem, kiedy zechcę czytać, niby na urojonym kompasie, minuty upływające między kwadransem na pierwszą a pierwszą, w maju, odnajdując się w ten sposób w rozmowie z panią Swann, pod jej umbrelką⁴, niby w cieniu szpaleru glicynii.

*

Doszedłem do zupełnej prawie obojętności w stosunku do Gilberty, kiedy w dwa lata później wybrałem się z babką do Balbec. Kiedym ulegał czarowi nowej twarzy, kiedym się spodziewał przy pomocy innej młodej dziewczyny poznawać gotyckie katedry, pałace i ogrody Italii, powiadałem sobie smutno, że nasza miłość, jako miłość pewnej istoty, nie jest może czymś zbyt realnym, skoro skojarzenia przyjemnych lub bolesnych marzeń mogą ją związać na jakiś czas z pewną kobietą, tak iż budzą w nas wiarę, że miłość była przez nią nieodzownie natchniona, jak znowuż, jeśli się dobrowolnie lub bezwiednie wyzwolimy z tych skojarzeń, miłość ta, przeciwnie, tak jakby była samorodna i poczęta z nas samych, odradza się, aby się poświęcić innej kobiecie. Jednakże, w chwili tego

⁴ *umbrelka* – parasolka. [przypis edytorski]

wyjazdu i przez pierwszy czas pobytu, obojętność moja była dopiero okresowa. Życie nasze jest tak mało chronologiczne, tyle wprowadza anachronizmów w porządek dni! Często żyłem w epoce dawniejszej niż wczoraj lub przedwczoraj, kiedy kochałem Gilbertę. Wówczas nie widzieć jej już stawało mi się nagle bolesne, tak jak byłoby bolesne w owej dobie. Owo **ja**, które ją kochało, zastąpione już prawie całkowicie innym ja, zmartwychwstawało, przy czym o wiele częściej wracała mi je jakaś rzecz błaha niż rzecz ważna. Na przykład – antycypuję tu pobyt w Normandii – słyszałem w Balbec, jak nieznajomy jakiś, mijając mnie na drodze, mówił: „Rodzina dyrektora ministerstwa poczty...”. Nie wiedziałem wówczas, jaki wpływ owa rodzina będzie kiedyś miała na moje życie, toteż słowa te powinny były być mi obojętne; otóż sprawiły mi żywy ból, ból rozłąki z Gilbertą, którego doznawało owo **ja** w znacznej części zamarte we mnie od dawna. Bo nigdy jeszcze nie wróciłem myślą do pewnej rozmowy, jaką Gilberta miała przy mnie z ojcem, na temat rodziny „dyrektora ministerstwa poczty”. Otóż wspomnienia miłosne nie stanowią wyjątku w ogólnych prawach pamięci, rządzonych znowuż powszechnymi prawami przyzwyczajenia. Ponieważ nawyk osłabia wszystko, najlepiej przypomina nam jakąś istotę to, cośmy zapomnieli (dlatego że to coś było nieznaczące i żeśmy mu w ten sposób zostawili całą jego siłę). I dlatego najlepsza część naszej pamięci jest poza nami, w dżdżystym podmuchu wiatru, w zaduchu pokoju lub w zapachu pierwszego ognia na kominku, wszędzie, gdzie odnajdujemy

z samych siebie to, czym nasz intelekt, nie mogąc tego spożytkować, wzgardził; ostatnią rezerwę przeszłości, najlepszą, tę, która, kiedy wszystkie nasze łyzy zdają się wyschłe, umie nam je jeszcze wycisnąć. Poza nami? W nas, aby lepiej rzec, ale ukryta własnym naszym spojrzeniem, w mniej lub więcej długim zapomnieniu. Jedynie dzięki owemu zapomnieniu możemy od czasu do czasu odnaleźć istotę, którąśmy byli, spojrzeć na rzeczy tak, jak patrzyła owa istota, na nowo cierpieć, bo nie jesteśmy już sobą, ale nią, i bo ona kochała to, co nam jest teraz obojętne. W pełnym świetle zwyczajnej pamięci obrazy przeszłości bledną pomału, zacierają się, nie zostaje z nich już nic, nie odnajdziemy ich już. Lub raczej nie odnaleźlibyśmy ich, gdyby jakieś słowa (jak „dyrektor ministerstwa poczty”) nie były starannie przechowane w zapomnieniu, tak jak się składa w Bibliotece Narodowej egzemplarz książki, bez tego narażonej na całkowitą zagładę.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.